

ROMANO GUARDINI, *Bóg. Nasz Pan Jezus Chrystus. Osoba i życie*, Warszawa 1999, 53-62; 397-408.

### **Chorzy**

W pierwszym rozdziale Ewangelii Marka czytamy: „Z nastaniem wieczora, gdy słońce zaszło, przynosili do Niego wszystkich chorych i opętanych; i całe miasto było zebrane u drzwi. Uzdrowił wielu dotkniętych rozmaitymi chorobami i wiele złych duchów wyrzucił, lecz nie pozwalał złym duchom mówić, ponieważ wiedziały, kim On jest” (Mk 1, 32 nn.).

Jakże bliski jest sercu ten obraz! Gorący dzień chyli się ku zachodowi. Nastaje wieczór i z gór zstępuje chłodny powiew. Jest tak, jak gdyby przestrzeń dokoła Niego otwarła się i zewsząd ciśnie się ludzka nędza. Jedni przychodzą, innych przyprowadzają, jeszcze innych przynoszą. On zaś przechodzi wśród tego cierpiącego tłumu, a „moc Boża jest z Nim i uzdrawia”, aby wypełniły się słowa proroka Izajasza: „On wziął na siebie nasze słabości i nosił nasze choroby” (Iz 53,4 i Mt 8,17).

Duch, który na Nim spoczywa, ma moc uzdrawiania. Uzdrawiania dogłębnego, ponieważ może tworzyć, sięgać do wewnętrznego załączka życia i odnawiać je. Uzdrawicielska moc Jezusa jest tak niewyczerpana, że stawia On czoło całej napierającej ludzkiej nędzy. Nie cofa się przed nią; nie odstrasza ją Go rany, wykrzywione chorobą członki, wynędzniałe ludzkie ciała, żaden rodzaj bólu. Nie ustępuje przed nimi. Nie wybiera tego, co wydaje się szczególnie naglące albo gdzie czuje się na siłach pomóc. Słowa: „Przyjdźcie do mnie wszyscy” - zob. Mt 11,28 - spełniają się już teraz, zanim je jeszcze wypowiedział.

A czegoż On do siebie nie dopuszcza! Czy ludzkie cierpienie nie jest jak morze? Czy pomaganie ludziom nie jest pracą nie mającą kresu? Któż, kto rzeczywiście zdecydował się na taką pomoc, może patrzeć na ludzkie cierpienie, nie mając przy tym poczucia, że stoi w obliczu niezmiernego zadania, wobec którego można bardzo łatwo samemu się zagubić?

Jezus czuje cierpienie tych ludzi; Jego serce porusza współczucie. Dopuszcza do siebie całą ludzką nędzę: jest od niej silniejszy. Nie znamy ani jednego słowa Pana, które by Go ukazywało jako idealistę sądzącego, że może sprawić, iż cierpienie to zniknie. Widzi je w całej jego brutalnej rzeczywistości, ale nigdy nie traci nadziei, nigdy nie ogarnia Go zmęczenie czy uczucie zawodu. Jego serce, najbardziej czujące i wiedzące,

jakie kiedykolwiek było, jest silniejsze niż wszelkie ludzkie cierpienie.

Z anonimowego tłumu wyłaniają się od czasu do czasu pojedyncze, kilkoma zaledwie kreskami zarysowane postacie. Zaraz na początku swojej działalności przychodzi Jezus do domu Piotra, którego teściową trawi wysoka gorączka. Podchodzi do łoża, „staje nad nią”, mówi Łukasz (4,39) - i na Jego rozkaz gorączka ustępuje, a kobieta zaraz wstaje i służy gościom.

Innym razem Jezus idzie drogą, a towarzyszy Mu spory tłum. Przy drodze siedzi niewidomy, słyszy jakieś poruszenie, pyta, kto to przechodzi, a dowiedziawszy się, woła: „Synu Dawida, ulituj się nade mną!” Próbuje go uciszyć, ale on woła coraz głośniejsze, aż wreszcie Jezus dopuszcza go do siebie i pyta: „Co chcesz, abym ci uczynił?” „Rabbuni, żebym przejrzał”. Na to Jezus: „Idź, twoja wiara cię uzdrowiła”. Niewidomy natychmiast odzyskuje wzrok i idzie za Jezusem (Mk 10,46-52). Kiedy indziej znowu Jezus naucza w jednym z małych galilejskich domów, które mają tylko jedno pomieszczenie. Wokół Niego cisną się ludzie, wpatrzeni w Niego słuchają. Wtem przynoszą paralytyka, a ponieważ niosący go nie mogą się docisnąć do drzwi, wchodzą na dach, robią w nim otwór i spuszcza go przez niego nosze. Zebrani szemrzą, ale Jezus, widząc tę wielką prostą wiarę, pociesza załkniętego paralytyka: „Synu, odpuszczają ci się twoje grzechy”. A kiedy wokół podnoszą się głosy oburzenia: „On bluźni! Któż może odpuszczać grzechy, prócz jednego Boga?” - potwierdza tamte słowa uzdrowicielskim czynem: „Wstań, weź swoje łożo i idź do domu!” (Mk 2,1-12).

Albo też: Jezus wchodzi do synagogi, obserwowany przez ludzi, nieufnie i wręcz wrogo do Niego nastawionych. A był tam człowiek, który miał uschlą rękę. Jest szabat - wszyscy czekają, co Jezus uczyni. On zaś przywołuje owego człowieka na środek, aby wszyscy widzieli jego nieszczęście, i powiada: „Co wolno w szabat: uczynić coś dobrego czy coś złego? Życie ocalić czy zabić?” A czując głuchą wrogość zatwardziałyh serc, spogląda wokół z gniewem, jak gdyby chciał wszystkich zmusić do uznania prawdy, i mówi do chorego: „Wyciągnij rękę!” - a oto ręka tamtego jest już zdrowa (Mk 3,1-6).

Tak więc ukazują się jedna po drugiej konkretne postacie i dają świadectwo o uzdrawiającej mocy, która z Niego promieniuje.

Czasami ma się wrażenie, jak gdyby można było sięgnąć spojrzeniem poza to, co się dokonuje w sensie zewnętrznym. Oto przyprowadzają do Jezusa niewidomego, a On wkłada na niego ręce i pyta: „Czy widzisz co?” Na co tamten, poruszony, odpowiada: „Widzę ludzi, bo gdy chodzą, dostrzegam ich niby drzewa”. Uzdrawiająca moc oddziaływała na wygasłe nerwy; te ożyły, ale nie funkcjonują jeszcze należycie. Dostrzegane postacie są

jeszcze nieproporcjonalnie wielkie, wydają się jakieś obce. Wtedy Jezus ponownie kładzie dłoń na oczy tego człowieka, a ten zaczyna widzieć jasno i wyraźnie. Czy nie jest to tak, jak gdyby przeżywało się wraz z nim tę tajemnicę od wewnątrz (Mk 8,22-26)?

Innym razem wokół Jezusa zbiera się wielki tłum. Pewna kobieta, która od wielu lat cierpi na krwotok i daremnie szuka pomocy u różnych lekarzy, mówi do siebie: „Żebym się choć Jego płaszcz dotknęła, a będę zdrowa”. Podeszła więc „od tyłu, między tłumem, i dotknęła się Jego płaszcz... Zaraz też ustał jej krwotok i poczuła w ciele, że jest uzdrowiona”. Jezus zaś odwraca się i pyta: „Kto się dotknął mojego płaszcz?”. Uczniowie dziwią się: „Widzisz, że tłum zewsząd Cię ścisza, a pytasz: Kto się mnie dotknął?”. Ale On dobrze wie, co mówi: natychmiast bowiem „uświadomił sobie, że moc wyszła od Niego”. Wtedy kobieta, zalękniona, podchodzi, pada Mu do nóg i wyznaje, co uczyniła, a On odprawia ją słowami pełnymi miłości. Wygląda to tak, jakby był On „naładowany” uzdrowieńczą mocą. Jakby wystarczyło tylko podejść do Niego z prośbą, aby - nawet bez Jego woli - wyszła od Niego ta moc (Mk 5,25-34).

Czym jest dla Chrystusa uzdrawianie?

Mawiano, że był On dobrotliwym przyjacielem ludzi. Współczesna doba przejawia dużą wrażliwość społeczną i charytatywną; dlatego pragnęła w Nim widzieć wielkiego dobroczyńcę ludzi, który widział ich cierpienia i starał się im pomagać. Sądząc tak, jest jednak w błędzie. Niewątpliwie Jezus jest pełen miłości i głęboko odczuwa wraz z ludźmi ich ból. Jego serce pełne jest tego bólu, tak że nawet w Ewangeliach, które tak niewiele mówią o procesach wewnętrznych, powiedziane jest: „Gdy Jezus wysiadł, ujrzał wielki tłum. Zlitował się nad nimi, byli bowiem jak owce nie mające pasterza” (Mk 6,34). Pomimo to jednak nie można uważać Jezusa po prostu za wielkiego społecznika o szerokim sercu i dużej energii, który dostrzega ludzkie cierpienie, rozumie je i stara się mu przeciwdziałać. Nie jest On kimś, kto widząc, że stosunki społeczne pozostawiają wiele do życzenia, chciałby je naprawić; kto się buntuje przeciwko socjalnym nierównościom i walczy o sprawiedliwość. Społecznik pragnie zmniejszyć, a w miarę możliwości usunąć cierpienie. Pragnie, aby potrzeby były odpowiednio zaspokajane, aby zapobiegać nieszczęściom i aby ludzka egzystencja była należycie uporządkowana; aby na świecie żyli ludzie pogodni, zdrowi, cieszący się pomyślnością na ciele i na duszy. Tymczasem widać od razu, że w przypadku Jezusa nie o to chodzi. Widzi On cierpienie o wiele głębiej, jako o wiele bardziej zakorzenione w ludzkiej egzystencji na ziemi, jako zespolone z grzechem i wyobcowaniem względem Boga. Widzi je jako to miejsce w ludzkiej egzystencji, gdzie jest ona - a przynajmniej może być - otwarta ku Bogu; jako skutek winy, ale zarazem jako

drogę oczyszczenia i nawrócenia, jak na to wyraźnie wskazują Jego słowa o wzięciu krzyża i pójściu za Nim (Mt 16,24).

Zbliżywszy się do sedna sprawy, jeśli powiemy: Chrystus nie omijał cierpienia, jak to częstokroć czyni człowiek. Nie przeoczał go. Nie zasłaniał się przed nim. Przyjmował je do swego serca. Jako cierpiących przyjmował ludzi takimi, jakimi naprawdę są; w ich rzeczywistej kondycji. Wczuwał się w ich udrękę, w ich winę i ich nędzę. Jest to coś nieskończenie wielkiego - miłość odczuwana ze świętą powagą, bez jakiegokolwiek iluzji, ale właśnie przez to o przemożnej sile, jest ona bowiem „czynieniem prawdy w miłości”, które obejmuje sobą rzeczywistość i unosi ją z posad. Sprawiane przez Jezusa uzdrowienia są czynem dokonującym się za sprawą Boga: objawiają Go i prowadzą ku Niemu. Uzdrawienie wiąże się u Jezusa zawsze z wiarą. W Nazarecie nie może On działać cudów, ponieważ tamtejsi ludzie nie wierzą. Narzucać im cud znaczyłoby tyle co niszczyć jego sens, jest on bowiem odniesiony do wiary (Łk 4,23-30). Uczniowie nie mogą uzdrowić chorego chłopca, są bowiem małej wiary, wskutek czego moc Ducha Świętego pozostaje spętana (Mt 17,14-21). Kiedy przez otwór w dachu wnoszą paralityka, wydaje się w pierwszym momencie, że Jezus nie dostrzega jego choroby. Tym, co przede wszystkim widzi, jest jego wiara. Ze względu na nią odpuszcza mu grzechy i dopiero jakby dla dopełnienia całości uzdrawia go (Mk 2,1-12). Ojcu epileptyka mówi: „Wszystko możliwe jest dla tego, kto wierzy”. I kiedy serce tego człowieka gotowe jest uwierzyć, cud się spełnia (Mk 9,23 nn.). Setnik, który mówi z żołnierską prostotą: Nie godzi się, abyś przyszedł do mnie; wystarczy, że powiesz słowo, a mój sługa odzyska zdrowie, podobnie jak jest posłuszny mnie, kiedy mu mówię: „Chodź tu!” albo „Zrób to!” - słyszy w odpowiedzi pochwalne słowa: „Zaprawdę, u nikogo w Izraelu nie znalazłem tak wielkiej wiary” (Mt 8,5-13). Niewidomemu, który odzyskał wzrok, Jezus mówi: „Wiara twoja cię uzdrowiła” (Mk 10,46-52).

Jezusowe uzdrowienia łączą się ściśle z wiarą - podobnie jak głoszone przezeń orędzie. Także uzdrawianie objawia rzeczywistość kochającego Boga. Właściwym jego celem jest to, aby ludzie dostrzegli tę rzeczywistość, otwarli się na nią, weszli w nią.

### **„To, co zginęło”**

Osobę Jezusa otacza szereg postaci; powinniśmy należycie rozumieć Jego stosunek do nich. O chorych była już mowa. Widzieliśmy, że Jezus nie zajmuje wobec nich postawy społecznika czy działacza charytatywnego; że Jego pomoc i czyny uzdrowicielskie są

objawianiem żywego Boga, a więc w gruncie rzeczy tym samym, co głoszenie świętej prawdy, i wzywają do oddania się Bogu w wierze. Obok chorych i dręczonych przez złe moce mamy tu „celników i grzeszników”. Jezus nie tylko ich nie unika, ale nawet blisko z nimi obcuje. Z tego powodu Jego przeciwnicy nazywają Go „przyjacielem celników i grzeszników”, dodając to określenie do innych, równie mało pochlebnych epitetów: „żarłok i pijak” (Mt 11,19). Otóż w obcowaniu z tymi ludźmi widziano coś nagannego; i kiedy przyjrzymy się bliżej, jak się dzisiaj często na nie patrzy, z aprobatą czy dezaprobatą, to również wyczuwa się w tym pewną wątpliwość. Powinniśmy więc sobie uświadomić, dlaczego tak było.

Pierwsza Ewangelia opowiada w rozdziale dziewiątym: „Odchodząc stamtąd, Jezus ujrzał człowieka imieniem Mateusz, siedzącego w komorze celnej, i rzeki do niego: «Pójdź za mną!» On wstał i poszedł za Nim. Gdy Jezus siedział w domu za stołem, przyszło wielu celników i grzeszników i siedzieli wraz z Jezusem i Jego uczniami. Widząc to, faryzeusze mówili do Jego uczniów. «Dlaczego wasz nauczyciel jada wspólnie z celnikami i grzesznikami?» On, usłyszawszy to, rzekł: «Nie potrzebują lekarza zdrowi, lecz ci, którzy się źle mają. Idźcie i starajcie się zrozumieć, co znaczy: Chcę raczej miłosierdzia niż ofiary. Bo nie przyszedłem powołać sprawiedliwych, ale grzeszników»” (Mt 9,9-13). Ewangelista mówi tu o sobie samym; historia, którą opowiada, jest relacją o jego własnym gorzkim i uszczęśliwiającym doświadczeniu.

Celnik, czyli poborca podatków, był w imperium rzymskim postacią znienawidzoną. Państwowa władza podatkowa nie istniała, a prawo ściągania podatków w danej prowincji wydzierżawiano prywatnemu przedsiębiorcy, który gwarantował państwu wpływ ustalonej kwoty. W zamian za to miał całkowicie wolną rękę w stosunku do podatników; kwota, której od nich żądał, stanowiła często wielokrotność tamtej. W dodatku miał on też prawo egzekucji. Swoje uprawnienia przekazywał z zasady poddzierżawcom, którzy działali w mniejszych okręgach i oczywiście tak samo dbali o swoją kieszeń. Ściąganie podatków odbywało się w sposób bezlitosny, a cały ten system był często niczym innym jak tylko zalegalizowanym rabunkiem. Istniał on także w Palestynie. Poborca podatkowy był tam zatem uważany za krwiopijcę, a do tego kolaboranta Rzymu. A więc zdrajca i wróg, znienawidzony i usunięty poza nawias społeczeństwa.

Takiego właśnie człowieka Jezus „odwołuje” z komory celnej. Od tej chwili ma on pójść za Nim, co więcej: należeć do najściślejszego grona Jego uczniów. I nie dość, że rozmawia z nim - co już jest czymś niesłychanym - ale jeszcze idzie do jego domu i zasiada z nim za stołem. Przychodzą tam też przyjaciele owego człowieka, „celnicy i

grzesznicy” - ludzie godni pogardy - i Jezus również z nimi siedzi za stołem. Budzi to najwyższe oburzenie, jako że wspólny posiłek miał charakter religijny, był aktem kultowym i ustanawiał sakralną jedność biesiadników. Wspólnota stołu była wspólnotą egzystencji. Kto spożywał posiłek z osobami nieczystymi, niejako przyłączał się do nich i sam stawał się nieczysty. Dlatego można zrozumieć oburzone pytanie faryzeuszów: „Wasz nauczyciel jada wspólnie z celnikami i grzesznikami?”.

Ale dlaczego Jezus to czyni? Można by w tym podejrzewać jakąś antymieszczańską romantykę, która pogardza „establishmentem” i jedynie w usuniętych poza nawias ustabilizowanego społeczeństwa widzi prawdziwych ludzi. Byłoby to jednak przypuszczenie anachroniczne, oparte na współczesnych wyobrażeniach. Tamtym czasem, a już z pewnością Jezusowi postawa taka - motyw „społeczny” w dzisiejszym sensie tego słowa - była z pewnością obca. Jego słowa i czyny wynikają z innej motywacji i nastawione są na coś innego. Ma On na uwadze człowieka i jego stosunek do Boga. Jezus nigdy nie uważałby społecznej degradacji jako takiej za coś wartościowego, ani też uporządkowanego stanu spraw ludzkich jako takiego za szkodliwy dla tego, co istotne. Każdy układ stosunków może prowadzić do Boga, ale też odwozić od Niego. To, o co Jezusowi chodzi, wyrażają Jego słowa: „Nie przyszedłem powołać sprawiedliwych, ale grzeszników”. Przyjrzyjcie się więc sobie dobrze, czy chcecie być „sprawiedliwymi”. Jeśli tak, to nie przyszedłem do was! A jeśli mam przyjść do was, to uznajcie, że jesteście grzesznikami - a wtedy na czym polega różnica między wami a tamtymi?

W podobnej, choć bardziej dobitnej formie powraca ten problem - który przecież był typowy i musiał się powtarzać - w historii Zacheusza. Oto co opowiada Łukasz:

„Potem [Jezus] wszedł do Jerycha i przechodził przez miasto. A był tam pewien człowiek, imieniem Zacheusz, zwierzchnik celników i bardzo bogaty. Chciał on koniecznie zobaczyć Jezusa, kto to jest, ale nie mógł z powodu tłumu, gdyż był niskiego wzrostu. Pobiegnął więc naprzód i wspiął się na sykomorę, aby móc Go ujrzeć, tamtędy bowiem miał przechodzić. Gdy Jezus przyszedł na to miejsce, spojrzał w górę i rzekł do niego: «Zacheuszu, zejź prędko, albowiem dziś muszę się zatrzymać w twoim domu». Zszedł więc z pośpiechem i przyjął Go rozradowany. A wszyscy, widząc to, szemrali: «Do grzesznika poszedł w gościnę». Lecz Zacheusz stanął i rzekł do Pana: «Panie, oto połowę mego majątku daję ubogim, a jeśli kogo w czym skrzywdziłem, zwracam poczwórnje». Na to Jezus rzekł do niego: «Dziś zbawienie stało się udziałem tego domu, gdyż i on jest synem Abrahama. Albowiem Syn Człowieczy przyszedł szukać i zbawić to, co zginęło»” (Łk 19,1-10).

Mamy tu przed oczyma człowieka poruszonego do głębi tym, co się dzieje w mieście; pragnie on za wszelką cenę ujrzeć Nauczyciela, o którym wszyscy mówią. Jest małego wzrostu, wobec czego nie może w tłumie nic dojrzeć i dlatego wspina się na drzewo. Jezus dostrzega go, widzi głęboką, zdecydowaną gotowość, każe mu zejść na dół i

„zaprasza się” do jego domu. Reakcją na to są znowu oburzone głosy: „Do grzesznika poszedł w gościnę!” Zacheusz wyczuwa niebezpieczeństwo i robi, co może, aby ten przedziwny mąż, który odniósł się do niego tak zupełnie inaczej niż faryzeusze i uczeni w Piśmie, nie odzegnał się teraz od niego: „Panie, oto połowę mego majątku daję ubogim, a jeśli kogo w czym skrzywdziłem” - z pewnością nie różni się pod tym względem od innych dzierżawców podatku - „zwracam poczwórnice”.

Powtórzmy raz jeszcze: tym, co Jezusem kieruje, nie jest jakaś niechęć wobec możnych. A posądzano Go o to. Mówiono, że brakowało Mu niezłomności charakteru, zdrowej woli władczej. Że był za słaby albo za subtelny na to, aby po prostu stanąć po stronie ludzi mocnych. Dlatego - w sprzeczności z samym sobą - występował po stronie maluczkich przeciwko tym, do których właściwie należał. Również takie myślenie jest efektem naszej epoki: jest ono fałszywe już z czysto historycznego punktu widzenia, a cóż dopiero w konfrontacji z tym, kim Jezus był i czego pragnął! Nie kierowała Nim żadna tajemna zawiść, żadna nienawiść będąca wynikiem bezsilności, żadna nieufność wobec tego, co wielkie w ziemskim sensie; nie znał lęku, ponieważ był wolny w samej głębi swojej jaźni. Dlatego ujmuje się za tymi, którzy są pogardzani i odepchnięci, i których nikt nie bierze w obronę: za maluczkimi, ubogimi i wykluczonymi ze społeczeństwa. Nie twierdzi, że są oni jako tacy ludźmi wartościowymi; pragnie tylko, aby i im oddana była sprawiedliwość. Tym zaś, którzy są przez wszystkich uznawani, szanowani i możnym, stawia czoło - nie dlatego, jakoby wielkość i władza byty same w sobie złe, lecz o tyle, o ile ludzie ci zapominają o Bogu. Pomija wszelkie różnice, pochodzące z tego świata, i zwraca się do tej sfery, która zarówno w możnym, jak w maluczkiem stanowi istotę człowieczeństwa: „Przecież i on jest synem Abrahama!” Tak więc Jezus z woli Ojca jest ukierunkowany na człowieka: „Syn Człowieczy przyszedł szukać i zbawić to, co zginęło”.

Ósmy rozdział Ewangelii Jana opowiada z kolei historię cudzołożnicy:

„Jezus natomiast udał się na Górę Oliwną, ale o brzasku zjawił się znów w świątyni. Cały lud schodził się do Niego, a On usiadłszy nauczał ich. Wówczas uczeni w Piśmie i faryzeusze przyprowadzili do Niego kobietę, którą pochwycono na cudzołóstwie, a postawiwszy ją pośrodku, powiedzieli do Niego: «Nauczycielu, tę kobietę dopiero co pochwycono na cudzołóstwie. W Prawie Mojżesz nakazał nam takie kamienować. A ty co mówisz?» Mówili to wystawiając Go na próbę, aby mieli o co Go oskarżyć. Lecz Jezus nachyliwszy się pisał palcem po ziemi. A kiedy w dalszym ciągu Go pytali, podniósł się i rzekł do nich: «Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień». I powtórnie nachyliwszy się pisał na ziemi. Kiedy to usłyszeli, wszyscy jeden po drugim zaczęli odchodzić, poczynając od starszych, aż do ostatnich. Pozostał tylko Jezus i kobieta, stojąca na środku. Wówczas Jezus podniósłszy się rzekł do niej: «Kobieto, gdzież oni są? Nikt cię nie potępił». A ona odrzekła: «Nikt, Panie!» Rzekł do niej Jezus: «I ja ciebie nie potępiam. Idź, a od tej chwili już nie grzesz!»» (J 8,1-11).

I znowu musimy się tu wystrzegać powierzchownego spojrzenia na tę scenę, które mogłoby sugerować, jakoby Jezus opowiadał się za grzesznicą przeciwko cnocie, za osobą, która odważyła się wyłamać z więzów tradycyjnego zachowania i postąpić według własnej woli, przeciwko Prawu. Otóż byłby to wniosek z gruntu błędny. Jezus nie jest rewolucjonistą serca. Nie broni prawa do folgowania namiętności wbrew skostniałemu porządkowi moralnemu i obłudnemu purytanizmowi. Przy dokładniejszym wejrzeniu okaże się, że sedno problemu tkwi tutaj w tym samym, co w poprzednich spotkaniach. Faryzeusze nie przychodzą bynajmniej po to, aby szukać sprawiedliwości, lecz aby zastawić na Jezusa pułapkę. Jeśli zaś chodzi o ich własną moralność, to jest ona zakłamana, jako że oni sami nie czynią tego, czego domagają się od innych. Jeśli zaś rzeczywiście to czynią, to z takim przekonaniem o swojej doskonałości, że stają się głusi i ślepi na osobę Chrystusa i Jego orędzie. Dlatego Jezus milczy, a z tego milczenia wyłania się głos prawdy. To, że Prawo ma słuszność, nie jest w ogóle kwestionowane; ale oskarżyciele uświadamiają sobie, dlaczego oskarżają i kim oni sami są. Wtedy ogarnia ich wstyd i odchodzą, „poczynając od starszych”. Postępek kobiety nie zostaje bynajmniej uznany za słuszny. Jest ona „grzesznicą” i Jezus tak właśnie ją nazywa. Ale wbrew temu sztywnemu pojmowaniu Prawa i tym oskarżycielom nie potępia jej. W ten sposób spełnia się wyższa, od Boga pochodząca sprawiedliwość, która poszerza serce i objawia „laskę Boga niosącą zbawienie wszystkim ludziom” (Tt 2,11). Również ta „zaginiona” zostaje wezwana przez sprawiedliwego i zarazem miłosiernego Boga.

A potem piękna opowieść Ewangelii Łukasza o nawróconej grzesznicy:

„Jeden z faryzeuszów zaprosił Go do siebie na posiłek. Wszedł więc do domu faryzeusza i zajął miejsce za stołem. A oto kobieta, która prowadziła w mieście życie grzeszne, dowiedziawszy się, że jest gościem w domu faryzeusza, przyniosła flakonik alabastrowy olejku i stanąwszy z tyłu u nóg Jego, płacząc, zaczęła łzami oblewać Jego nogi i włosami swej głowy je wycierać. Potem całowała Jego stopy i namaściwała je olejkiem. Widząc to faryzeusz, który Go zaprosił, mówił sam do siebie: «Gdyby on był prorokiem, wiedziałby, co za jedna i jaka jest ta kobieta, która się go dotyka, że jest grzesznicą». Na to Jezus rzekł do niego: «Szymonie, mam ci coś powiedzieć». On rzekł: «Powiedz, Nauczycielu!» «Pewien wierzyciel miał dwóch dłużników. Jeden winien mu był pięćset denarów, a drugi pięćdziesiąt. Gdy nie mieli z czego oddać, darował obydwom. Który więc z nich będzie go bardziej miłował?» Szymon odpowiedział: «Sądzę, że ten, któremu więcej darował». On mu rzekł: «Słusznie osądziłeś». Potem zwrócił się do kobiety i rzekł Szymonowi: «Widzisz tę kobietę? Wszedłem do twego domu, a nie podałeś mi wody do nóg; ona zaś łzami oblała mi stopy i swymi włosami je otarła. Nie dałeś mi pocałunku; a ona, odkąd wszedłem, nie przestaje całować nóg moich. Głowy nie namaściłeś mi oliwą; ona zaś olejkiem namaściła moje nogi. Dlatego powiadam ci: Odpuszczone są jej liczne grzechy, ponieważ bardzo umiłowała. A ten, komu mało się odpuszcza, mało miłuje». Do niej zaś rzekł: «Twoje grzechy są odpuszczone». Na to współbiednicy zaczęli mówić sami do siebie: «Któż on jest, że nawet grzechy odpuszcza?» On zaś rzekł do kobiety: «Twoja wiara cię ocaliła, idź w pokoju!»» (Łk 7,36-50).

Nie chcemy natrętnie wnikać w to wydarzenie, pełne świętego piękna; chodzi tylko o to, aby nie przyprawiać go tanim sentymentalizmem. Kto przeczyta ten tekst we właściwy sposób, nie potrzebuje objaśnienia. Owa „grzesznica” była może jedną z bardzo niewielu - czy oprócz Matki Pana, jej, Marii z Betanii i ewentualnie Jana byli jeszcze inni? - którzy rzeczywiście uwierzyli.

Kobieta owa wchodzi do sali, gdzie siedzą wyniośli ludzie o nieczułych sercach. Spojrzenia i postawa ich wszystkich wskazują wyraźnie, że nie jest ona tutaj osobą pożądaną. Kiedy następnie okazuje pokorną posługę Jezusowi, a On ją przyjmuje, faryzeusz, który Go zaprosił, myśli sobie: „Gdyby on był prorokiem, wiedziałby, co za jedna i jaka jest ta kobieta, która się go dotyka, że jest grzesznicą”. Zdanie to ma Jezusa dezawuować: gdyby był prorokiem, wiedziałby, że jest to nierządnicą, i odrzuciłby ją od siebie. Widocznie więc tego nie wie - a w takim razie nie jest prorokiem. Jeśli zaś wie, co to za jedna, i toleruje jej postępowanie, to znaczy, że jest taki sam jak ona. Czy Jezus bierze stronę nierządnicy przeciwko faryzeuszom? Czy opowiada się za życiem w hańbie przeciwko życiu obyczajnemu? Oczywiście nie. Ukazuje natomiast bezkrytycznemu wobec samego siebie oskarżycielowi, kim on jest: że jest człowiekiem patrzącym wyłącznie z perspektywy ziemskiej, uwikłanym w konwencje tego świata, człowiekiem nieczułego serca, bezwzględny i ślepy. I ukazuje, jaką postawę zajęła osądzana kobieta: pełną skruchy i wielkiej miłości, która przekreśla całe jej dotychczasowe występne życie i zbliża ją do Zbawiciela. Ta, którą nazywasz grzesznicą, wchodząc tutaj, już nią nie była; miłować tak, jak ona miłuje, może bowiem ten tylko, komu odpuszczony został bardzo wielki grzech.

Nie ma w tym żadnej romantyki grzechu, żadnej obrony namiętności przeciwko łaadowi moralnemu i Prawu. Zbawiciel daje tylko wyraźnie do zrozumienia, co dla Niego jest naprawdę ważne: że tym czymś jest człowiek - czy będzie się on zwał Marią Magdaleną, czy Szymonem faryzeuszem. Zwraca się do obojga, ale ponad dzielącymi ich ziemskimi różnicami - do takich, jakimi są oni w obliczu Boga.

Jezus nie opowiada się za wyzwoloną jednostką przeciwko społeczności; za sercem i jego odruchami przeciwko Prawu. Nie staje po stronie ludzi usuniętych poza nawias społeczeństwa przeciwko szanowanemu establishmentowi. Nie uważa grzeszników jako takich za bardziej wartościowych od ludzi cnotliwych. Wszystko to byłoby romantyką i resentymentem osadzonym we współczesnych wyobrażeniach. Jezus szuka człowieka i stawia go w obliczu Boga.

Idzie do wyrzuconych na margines życia i wyzutych z czci, ponieważ są oni przez

wszystkich potępiani i nikt nie przychodzi im z pomocą. Wchodzi w ich krąg; nie dlatego, jakoby Jego dekadentyczne usposobienie ciągnęło Go do ludzi upadłych, lecz dlatego, że dzięki swej boskiej wolności ma moc przemawiania do wszystkich: do ubogich i zagubionych w tym świecie, na których patrzy po prostu jako na ludzi i głosi im Boże orędzie, do cieszących się powszechnym szacunkiem, którym uświadamia, że oceniają sami siebie fałszywie i że grozi im utrata zbawienia.

Ale po tym wszystkim trzeba powiedzieć jeszcze coś innego. Jezus przyszedł - tylko On jeden i nikt więcej - aby przynieść wielkie „przewartościowanie wartości”, a to przez fakt, że Bóg przemawia do świata i nawiązuje z nim relację. Otóż Nowy Testament mówi, że ubodzy, pogardzani, grzesznicy i celnicy są bardziej otwarci na orędzie i nadchodzące królestwo Boże niż ludzie dobrze w tym świecie usytuowani i możni. Ich instynkt popycha ich do tego, aby zachować świat takim, jaki on jest; nie chcą żadnego „przewartościowania”. Ci pierwsi natomiast są mniej przywiązani do aktualnej rzeczywistości i dlatego bardziej gotowi przyjąć jej zmianę. I jakkolwiek nie wolno zapominać, że ubóstwo również może oddzielać od Boga i popychać do buntu przeciwko Niemu, to jednak pozostaje prawdą, że ubodzy i wyrzuceni poza nawias społeczeństwa łatwiej i głębiej poznają złudny charakter ziemskiej egzystencji. Świat sam stara się o to, aby widzieli, jaki jest on naprawdę. Ubóstwo może przyprawiać człowieka o ośpienie i rozpacz; niemniej jednak istnieje głębokie pokrewieństwo między „celnikami i nierządnicami”, „maluczkimi i prostaczkami” a orędziem o królestwie Bożym, przyniesionym przez Tego, który sam był ubogi i bezdomny.

Kiedy zobaczyliśmy już wszystko, co było konieczne, aby uniknąć wypaczenia wizerunku Jezusa, trzeba też powiedzieć, że istnieje pewna tajemnica ubóstwa, odrzucenia przez świat, głupstwa dla Boga, która jest bardzo blisko związana z Jezusem: jest to tajemnica Krzyża.

### **Zmartwychwstanie**

Wszystkie Ewangelie opowiadają o tajemniczym wydarzeniu, jakie miało miejsce trzeciego dnia po śmierci Jezusa. Relacje te już pod względem swojej formy mają szczególny charakter: wszystkie one nagle się urywają, wzajemnie krzyżują, zawierają napięcia i sprzeczności, które trudno całkowicie rozwikłać. Zdaje się z nich przebiegać coś niezwykłego, co nie mieści się w ramach potocznego doświadczenia. Zestawiając różne teksty według kryterium prawdopodobieństwa, otrzymujemy mniej więcej następujący

obraz<sup>1</sup>: „Po upływie szabatu, o świcie pierwszego dnia tygodnia... powstało wielkie trzęsienie ziemi. Albowiem anioł Pański zstąpił z nieba, podszedł, odsunął kamień i usiadł na nim<sup>2</sup>. Postać jego jaśniała jak błyskawica, a szaty jego były białe jak śnieg. Ze strachu przed nim zadrżeli strażnicy i stali się jakby umarli” (Mt 28,1-4)<sup>3</sup>.

„Po upływie szabatu Maria Magdalena, Maria matka Jakuba i Salome nakupiły wonności, żeby pójść namaścić Jezusa. Wczesnym rankiem w pierwszy dzień tygodnia przyszły do grobu, gdy słońce wzeszło. A mówiły między sobą: «Kto nam odsunie kamień od wejścia do grobu?» Gdy jednak spojrzały, zauważyły, że kamień był już odsunięty, a był bardzo duży” (Mk 16,1-4). „A skoro weszły, nie znalazły ciała Pana Jezusa” (Łk 24,3).

Maria [Magdalena] „pobiegła więc i przybyła do Szymona Piotra i do drugiego ucznia, którego Jezus kochał, i rzekła do nich: «Zabrano Pana z grobu i nie wiemy, gdzie Go położono». Wszedł więc Piotr i ów drugi uczeń i szli do grobu. Biegli oni obydwaj razem” J 20,2 nn).

„Gdy wobec tego [inne niewiasty będące jeszcze u grobu] były bezradne, nagle stanęło przed nimi dwóch mężczyzn w lśniących szatach. Przestraszone, pochyliły twarze ku ziemi, lecz tamci rzekli do nich: «Dlaczego szukacie żyjącego wśród umarłych? Nie ma Go tutaj; zmartwychwstał. Przypomnijcie sobie, jak wam mówił, będąc jeszcze w Galilei: Syn Człowieczy musi być wydany w ręce grzeszników i ukrzyżowany, lecz trzeciego dnia zmartwychwstanie»” (Łk 24,4-7). „Lecz idźcie, powiedzcie Jego uczniom i Piotrowi: Idzie przed wami do Galilei, tam Go ujrzycie, jak wam powiedział” (Mk 16,7). „Wtedy przypomniały sobie Jego słowa i wróciły od grobu, oznajmiły to wszystko Jedenastu i wszystkim pozostałym” (Łk 24,8 n)<sup>4</sup>.

„Lecz ów drugi uczeń [z dwóch biegnących do grobu - Jan] wyprzedził Piotra i przybył pierwszy do grobu. A kiedy się nachylił, zobaczył leżące płótna, jednakże nie wszedł do środka. Nadszedł potem także Szymon Piotr, idący za nim. Wszedł on do wnętrza grobu i ujrzał leżące płótna oraz chustę, która była na Jego głowie, leżącą nie razem z płótnami, ale oddzielnie zwiniętą na jednym miejscu. Wtedy wszedł do wnętrza także i ów drugi uczeń, który przybył pierwszy do grobu. Ujrzał i uwierzył. Dotąd bowiem nie rozumieli jeszcze Pisma, [które mówi], że On ma powstać z martwych. Uczniowie zatem powrócili znowu do siebie.

Maria Magdalena natomiast stała przed grobem płacząc. A kiedy tak płakała, nachyliła się do grobu i ujrzała dwóch aniołów w bieli, siedzących tam, gdzie leżało ciało Jezusa - jednego w miejscu głowy, drugiego w miejscu nóg. I rzekli do niej: «Niewiasto, czemu płaczesz?» Odpowiedziała im: «Zabrano Pana mego i nie wiem, gdzie Go położono». Gdy to powiedziała, odwróciła się i ujrzała stojącego Jezusa, ale nie wiedziała, że to Jezus. Rzekł do niej Jezus: «Niewiasto, czemu płaczesz? Kogo szukasz?» Ona zaś sądząc, że to jest

<sup>1</sup> Przyjmujemy w całości porządek, jaki proponuje harmonia Ewangelii Augusta Vezina, Freiburg 1938, s. 187 nn. Uzupełnienia objaśniające w nawiasach kwadratowych pochodzą od autora.

<sup>2</sup> Grób w postaci komory był wykuty w skale; „kamień” stanowi! umieszczoną pionowo płytę zamykającą wejście.

<sup>3</sup> Mamy tu najwyraźniej echo tego, co strażnicy opowiadali o swym przeżyciu w wielkanocny poranek. Ta pierwsza relacja, wraz z oficjalną wersją wydarzenia, za który strażnikom zapłacono, a według której ciało wykradli uczniowie, krążyła wśród poruszonego ludu.

<sup>4</sup> Zapewne słysząc to, a jednak nie mogąc uwierzyć, dwaj uczniowie, o których jest mowa w Łk 24,13-35, poszli do Emaus; zob. ich słowa w. 22.

ogrodnik, powiedziała do Niego: «Panie, jeśli ty Go przeniosłeś, powiedz mi, gdzie Go położyłeś, a ja Go wezmę». Jezus rzekł do niej: «Mario!» A ona obróciwszy się powiedziała do Niego po hebrajsku: «Rabbuni», to znaczy: Nauczycielu! Rzekł do niej Jezus: « Nie zatrzymuj mnie, jeszcze bowiem nie wstąpiłem do Ojca. Natomiast udaj się do moich braci i powiedz im: Wstępuję do Ojca mego i Ojca waszego oraz do Boga mego i Boga waszego»” (J 20,4-17).

Stwierdza się tu coś niesłychanego: Jezus z Nazaretu, nauczyciel „małej trzódki”, Ten, w którym wielu widziało Mesjasza, a którego Jego nieprzyjaciele przyprawili o śmierć, powstał z martwych do życia. Nie tylko w tym sensie, jaki miał na myśli na przykład Sokrates, mówiąc przed śmiercią do swoich uczniów, że jego dusza będzie żyć nadal w lepszym i większym życiu, nie tylko tak, jak człowiek, który umiera, ale potem jego obraz jest obecny w pamięci jego potomków, staje się dla nich drogowskazem i oddziałuje przemożnie na ich osobiste dzieje, lecz cieleśnie. Samo to zniweczone przez śmierć życie ponownie się zbudziło - oczywiście w nowym, przemienionym stanie.

Nasze odczucie broni się przed takim wymaganiem wobec wiary. Gdyby tak nie było, oznaczałoby to pewien sygnał alarmowy: powinniśmy wtedy zapytać siebie, czy nie traktujemy relacji ewangelicznej jako czegoś w rodzaju legendy. To, co ona twierdzi, jest czymś niesłychanym i bezpośrednio odczucie zawsze chyba przed tym się broniło. Nic dziwnego, że wielu uwierzyło w rozpowszechnianą przez władze urzędową informację, według której kiedy straż zasnęła, przyszli uczniowie i wykradli ciało - zob. Mt 28,11-15.

Istotnie, wielokrotnie próbowano wyizolować Zmartwychwstanie z prawdziwego obrazu życia Pana. Działo się to na różne sposoby. Często i już wcześniej w formie prostackiej: zwolennicy Pana dopuścili się ponoć jakiegoś oszustwa - zależnie od usposobienia autora takiej koncepcji nazywanego mniej lub bardziej „pobożnym”. Pierwszy asumpt do takiego twierdzenia dała owa oficjalna informacja, o której mówiliśmy.

Poważniejszy charakter mają dwa inne wyjaśnienia, pochodzące z nowszego okresu. Według pierwszego z nich uczniowie Jezusa wierzyli żarliwie w Jego mesjański charakter. Otóż im większe wątpliwości budził rozwój sytuacji, tym uporczywiej trzeba było tę wiarę podtrzymywać. Jeszcze w ostatnim momencie oczekiwali oni rozpaczliwie wielkiego mesjańskiego triumfu, powalenia nieprzyjaciół. Kiedy zaś potem nadeszła katastrofa, wszystko im się rozpadło. Ogarnęło ich bezbrzeżne zniechęcenie - i wtedy na zasadzie jednego z tych tajemniczych mechanizmów, jakimi zagrożone życie próbuje się ratować, z ich podświadomości wyłoniła się niewzruszona pewność: On żyje! Ta świadomość, dzięki której zwątpienie samo siebie przewyciężyło, tworzyła wizje, w których zdawało im się cieleśnie jawić to, czego gorąco pragnęli - albo ściślej: z takich wytwarzanych przez

podświadomość wizji rodziła się właśnie ta pewność. Twórczo uformowana przez bezpośrednich uczestników wydarzeń, wiara ta została potem przejęta przez innych i w ten sposób rozpoczęła się jej droga przez dzieje. Drugie wyjaśnienie przyjmuje za punkt wyjścia życie religijnej wspólnoty. Według tej tezy młoda gmina chrześcijańska, otoczona obcymi i nieprzyjaciółmi, odczuwała potrzebę czegoś, co by ją wewnętrznie konsolidowało, a zarazem odgraniczało od zewnętrznego świata: jakiejś boskiej postaci i zbawczego wydarzenia. I podobnie jak inne religijne wspólnoty miały swoje kultowe postaci, których mityczny los był przeżywany i przyswajany w rytualnych czynnościach, tak też w jej kręgu powstał obraz nadziemskiej istoty, której święte dzieje stały się treścią jej kultu i miarą jej egzystencji: Chrystusa Pana. Z takich duchowo-religijnych przeżyć zrodziła się postać Chrystusa, będąca czymś zupełnie innym niż Jezus z Nazaretu. On był człowiekiem: wielkim, twórczym pod względem religijnym geniuszem, który żył i umarł jak wszyscy ludzie - z tą tylko różnicą, że jego śmierć była wydarzeniem o nieporównanie większej doniosłości. Dopiero przeżycie wielkanocne sprawiło, że w jego miejsce wstąpił Kyrios Christos - żyjący w Duchu, przemożny duchowo, wzięty do chwały Pan wiary, przyszły Sędzia świata. Te dwie postacie nie są ze sobą tożsame - chyba że się przesłoni tę jasną wypowiedź i powie, że ową tożsamość „widzi tylko wiara”, co wszakże oznacza, że istnieje ona jedynie w odczuciu i przeżyciu jednostki.

Przeciwko temu wszystkiemu można wysunąć wiele argumentów. Nic w Piśmie Świętym nie wskazuje na to, że apostołowie w jakimkolwiek sensie oczekiwali Zmartwychwstania; raczej opierali się takiej myśli i dopiero sam fakt ich przekonał. Można by na to odpowiedzieć, że właśnie na tym polega istota takich religijnych wizji, iż świadome odczucie zdaje się przed nimi bronić i musi dopiero zostać przewyciężone, chociaż - nie: właśnie dlatego, że pochodzą one z nieświadomych pokładów duszy. To możliwe, niemniej jednak muszą one pod względem swojej formy odpowiadać ogólnemu życiu duchowemu tego, kto ich doświadcza. Tymczasem postać wcielonego Boga, który swoją cielesność zabiera ze sobą do stanu niebiańskiego, była żydowskiej mentalności jak najbardziej obca. Jest nie do pomyślenia, by „sfera nieświadomości” galilejskich rybaków miała przewyciężać ich depresję takim obrazem. Na koniec i przede wszystkim należałoby powiedzieć, że taki efekt religijnego wstrząsu mógłby się utrzymywać przez pewien czas - przez parę lat czy przez okres trwania mglistej duchowości - nigdy jednak nie wynikłoby stąd coś o takiej światowej potędze jak chrześcijaństwo, które jest nierozłącznie związane z wiarą w zmartwychwstanie Jezusa. Trzeba być ślepym, aby coś takiego twierdzić! Otóż nauka, która według swego wyobrażenia tak doskonale wszystko

widzi, bywa często aż nadto ślepa - tam mianowicie, gdzie jakaś niema wola każe jej nie widzieć... To wszystko wszakże nie ma jeszcze decydującego znaczenia i mówiliśmy o tym tylko po to, aby utorować sobie drogę do tego, co istotne.

Święty Paweł, który nie przeżył tego kryzysu, co inni apostołowie, wyraża to słowami: „Jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, daremna jest wasza wiara... jesteśmy bardziej od wszystkich ludzi godni politowania” (1 Kor 15,17.19). Co oznacza, że na fakcie powstania Jezusa z martwych opiera się cała wiara chrześcijańska; że nie jest ono jakimś członem marginalnym tej wiary ani też owocem mitologicznego rozwoju, jaki ona z przyczyn historycznych przyjęła i z którego później bez szkody dla swej istoty mogłaby zrezygnować, lecz jej najważniejszym elementem.

Ta świadomość Apostoła odsyła nas do samego Jezusa: jak On o tym myślał? Jezus mówił o swojej śmierci wielokrotnie - przede wszystkich przy trzech okazjach w swojej ostatniej drodze do Jerozolimy; za każdym razem dodawał, że zmartwychwstanie. W tych wypowiedziach występuje w skondensowanej formie coś, co w ogóle jest obecne w postawie Jezusa, a mianowicie Jego szczególny stosunek do śmierci. Śmierci, która nas dotyczy - mówiliśmy już o tym wcześniej - Jezus nie zna. Zna tylko tę śmierć, po której ma nastąpić zmartwychwstanie - i to natychmiastowe, dokonujące się w tym czasie światowym.

W ten sposób stajemy wobec najwyższego, ale zarazem najtrudniejszego zadania myśli chrześcijańskiej: zrozumienia ziemskiej egzystencji Pana. W życiu we wspólnocie łaski, w wierze i naśladowaniu pojmuje to nawet człowiek najprostszy. Tu wszakże chodzi nam o zrozumienie poprzez świadomą myśl, bo i ona jest przecież powołana do tego, by służyć Chrystusowi - co oczywiście wymaga, aby jako myśl „przyjęła chrzest” i stała się chrześcijańska. Zadanie to, zrozumienie żywego Jezusa Chrystusa, wniknięcie w Jego samoświadomość, jest bardzo trudne. Grozi tu dwojakie niebezpieczeństwo: wyjścia od rzeczywistej psychologii człowieka i rezygnacji z tego, co się znajduje poza nią, albo też wyjścia od dogmatu, obrony pierwiastka ponadludzkiego, ale bez uczynienia go widocznym. Tymczasem do sedna sprawy dochodzimy dopiero wtedy, gdy udaje się nam pozostawać w łączności z żywą postacią Pana: widzieć, jak ludzki jest On w każdym miejscu - ale także widzieć, jak rozumienie tego człowieczeństwa jest rozsadzane przez coś, co nie jest tylko wielkością geniusza lub objawiającym się religijnym doświadczeniem, lecz samym świętym Bogiem.

Jezus pozostaje w innej relacji do świata niż my. W innej do ludzi niż ktoś, kto jest tylko człowiekiem. W innej do Boga niż człowiek wierzący. W innej do swego własnego

ziemskiego istnienia, do życia i śmierci, niż my wszyscy. W tym zawiera się już zapowiedź zmartwychwstania.

Jesteśmy tu postawieni wobec alternatywy o absolutnie radykalnym charakterze. Jeśli za kryterium przyjmujemy siebie samych: naszą ludzką egzystencję - taką, jaka ona jest - świat - taki, jaki istnieje wokół nas - sposób, w jaki myślimy i czujemy - i z tej perspektywy zechcemy oceniać Jezusa Chrystusa, to musimy wiarę w Zmartwychwstanie uznać za efekt pewnych wstrząsów psychicznych o charakterze religijnym, za wytwór początków formowania się wspólnoty, to znaczy za złudzenie. A potem jest już tylko kwestią konsekwencji, jak szybko wyeliminujemy ją wraz z jej przesłankami i wnioskami i spróbujemy dotrzeć do „czystego chrześcijaństwa”. Które wszelako nie będzie niczym innym jak rozwodnioną etyką i pobożnością. Albo też stanie się dla nas jasne, czego postać Chrystusa żąda: że mianowicie żąda wiary. Poznamy, że nie przyszedł On po to, aby przynieść nam nową wiedzę i nowe doświadczenia w ramach świata, ale aby nas od fascynacji światem uwolnić. Usłyszmy Jego żądanie i będziemy mu posłuszni. Kryteria, według których należy myśleć o Chrystusie, przyjmujemy od Niego samego. Będziemy gotowi uznać, że nie prowadzi On dalej świata za pomocą bardziej szlachetnych czy głębszych wartości i mocy, lecz że z Nim zaczyna się nowe istnienie. Dokonamy tego zasadniczego zwrotu, który właśnie nazywa się „wiarą” i po którym nie myślimy już o Chrystusie z perspektywy świata, lecz z Jego perspektywy postrzegamy wszystko inne. Nie mówimy już wtedy: Na świecie to, co umarło, nie ożywa z powrotem, a więc orędzie o zmartwychwstaniu jest mitem - lecz: Chrystus zmartwychwstał, a więc zmartwychwstanie jest możliwe, a Jego zmartwychwstanie jest podstawą prawdziwego świata.

W Zmartwychwstaniu staje się jawne to, co od samego początku stanowiło żywą istotę Jezusa, Syna Człowieczego i Syna Bożego. Kiedy zastanawiamy się nad naszą własną egzystencją, to postrzegamy ją jako ruch, który rozpoczyna się w mroku dzieciństwa - w zależności od naszej pamięci sięgającej bardziej lub mniej daleko wstecz - potem wznosi się, osiąga punkt kulminacyjny, opada, aby w końcu mniej lub bardziej spełniony lub gwałtownie załamany, opaść. Ów tor mojego istnienia zaczyna się z chwilą narodzin i kończy śmiercią. Przed nim leży mrok, budzący zdumienie, jak to jest możliwe, że mogłem zacząć istnieć. U kresu toru leży również mrok, ponad który wyłania się niejasne uczucie nadziei... W Jezusie Chrystusie nie jest tak. Droga istnienia nie zaczyna się dla Niego z chwilą narodzin, lecz sięga wstecz - w wieczność: „Zanim Abraham stał się, JA JESTEM” (J 8,58). Nie są to słowa chrześcijańskiego mistyka z II wieku, jak twierdzono, lecz bezpośredni wyraz tego, co żyło w Chrystusie. Tor ten nie kończy się też

śmiercią, lecz zabierając z sobą całe Jego ludzkie życie, przechodzi w wieczność: „Oni zabiją Go, ale trzeciego dnia zmartwychwstanie” (Mt 17,23). Egzystencjalna świadomość ma całkiem inną głębię i rozległość, całkiem inny stosunek do śmierci, niż nasza. Śmierć jest w Jego świadomości jedynie przejściem - jakkolwiek niezwyklej wagi. „Czyż Mesjasz nie miał tego cierpieć, aby wejść do swej chwały?” - pyta Pan uczniów na drodze do Emaus (Łk 24,26). Zmartwychwstanie urzeczywistnia to, co nosił On w sobie zawsze. Kto odrzuca Zmartwychwstanie, odrzuca także wszystko, z czym w Jego istocie i świadomości jest ono związane. To, co potem pozostaje, nie jest już warte wiary.

Ale relacje mówią przecież wyraźnie o doznaniu wizjonerskim! Uczniowie mieli przecież wizje!... Owszem, tyle tylko, że trzeba przywrócić temu słowu jego pierwotny sens. To, co słuchacz mimo woli myśli, słysząc zdanie: „była to wizja”, myśli dopiero od niedawna. Tymczasem zdanie to ma sens pradawny. W znaczeniu, w jakim nas ono tutaj obchodzi, znajdujemy je już w Starym Testamencie. „Wizja” oznacza widzenie. Ale nie jako samo tylko doznanie, którego treść zawarta jest jedynie w duszy samej osoby widzącej, lecz jako wkroczenie wyższej rzeczywistości w sferę doświadczenia tej osoby. Uczniowie u grobu, na drodze do Emaus, w Wieczerniku i nad jeziorem mieli wizje, ale oznacza to, że widzieli żywego Pana. Jako rzeczywistość, która była w świecie, a jednak do niego nie należała. Pozostając w porządkach tego świata, ale będąc zarazem Panem nad jego prawami. Oglądać tę rzeczywistość znaczyło coś więcej i coś innego, niż widzieć drzewo rosnące przy drodze czy człowieka wchodzącego w drzwi. Patrzenie na Niego, zmartwychwstałego Chrystusa, było wstrząsem, zburzeniem wszystkiego, do czego ludzie ci przywykli. Dlatego w relacji spotykamy nowe słowa; że Jezus „ukazuje się”, „znika”, że „naraz” staje pośród nich, że ktoś się odwraca, a On „stoi obok niego”, i tak dalej - zob. Mk 16,9.14; Łk 24,31.36. Stąd też motyw czegoś nagiego, urywającego się, wzajemnie sprzecznego - forma właściwa dla domagającej się wyrazu, autentycznej treści, która rozsadza dawną formę.

### **Ciało uwielbione**

Kiedy uważnie i nie jeden raz czytamy relacje Ewangelii o wydarzeniu wielkanocnym i o czasie następującym bezpośrednio po nim, uderza nas widoczny w nich dwojaki zamiar, który znajduje wyraz w dwojako podkreślonym charakterze obrazu Chrystusa. Z jednej strony mówi się tam z coraz to nowym naciskiem, że Chrystus był zupełnie inny niż przed swoją śmiercią i w ogóle niż ludzie. Jego postać ma w sobie w tych relacjach coś obcego. Jego zbliżenie się powoduje wstrząs, napętnia lękiem. Podczas gdy

przedtem „przychodził” i „odchodził”, teraz „ukazuje się”, „naraż” idzie obok uczniów, „znika” (Mk 16,9.14; Łk 24,31.36). Bariery cielesności przestają dla Niego istnieć. Granice czasu i przestrzeni już Go nie krępują. Porusza się z nową, niemożliwą na ziemi swobodą... Zarazem jednak podkreśla się również, że jest On rzeczywistym Jezusem z Nazaretu. Nie zjawą jedynie, lecz cielesnym Panem, który kiedyś żył razem ze swymi uczniami. Już kiedy pierwsza relacja opowiada, że kamień był odsunięty od grobu i że wewnątrz leżały zwinięte płótna całunu, wyczuwa się w tym cielesność. Potem czytamy, jak uczniowie widzą Go, słyszą, czują Jego bliskość, dostrzegają realność Jego ciała (Łk 24,39), dotykają ran w Jego dłoniach, wkładają rękę w Jego bok. Cała historia Tomasza, w której ten uczeń najpierw nie chce uwierzyć, a potem, przekonany, pada do nóg Pana (J 20,24-29), pozwala nam doświadczyć tej cielesności. Ten sam zamiar prowadzi do relacji sprawiających początkowo wrażenie osobliwe, jak Jezus spożywa ze swymi uczniami posiłek: w Wieczerniku, gdzie zjawia się niespodziewanie, uczniowie są przekonani, że widzą ducha, a On pyta ich, czy mają coś do jedzenia, i na ich oczach zjada kawałek ryby (Łk 24,42). Albo nad jeziorem, kiedy Jan widzi z łodzi postać na brzegu i mówi: „To jest Pan”, Piotr rzuca się do wody i płynie do Jezusa, a inni podążają za nim łodzią, kiedy zaś dobijają do brzegu, widzą płonące ognisko, w nim piekącą się rybę i Jezusa, który dzieli się z nimi posiłkiem (J 21,1-14). O przemożnym doświadczeniu cielesności Chrystusa mówią jeszcze inne miejsca Pisma, a zwłaszcza znamienity wstęp do Pierwszego Listu św. Jana: „[To wam oznajmiamy], co było od początku, cośmy usłyszeli o Słowie życia, co ujrzeliśmy własnymi oczami, na co patrzyliśmy i czego dotykały nasze ręce - bo życie objawiło się. Myśmy je widzieli, o nim świadczymy i głosimy wam życie wieczne, które było w Ojcu, a nam zostało objawione - oznajmiamy wam, cośmy ujrzeli i usłyszeli, abyście i wy mieli współuczestnictwo z nami” (1 J 1,1 nn).

Podkreśla się ciągle: Tutaj chodzi o coś szczególnego. Pan jest przemieniony. Żyje inaczej niż dawniej. Jego egzystencja jest niepojęta, ma w sobie nową moc Ducha, pochodzi całkowicie ze sfery boskiej i nieustannie na nowo w nią się zanurza. Pomimo to jest ona cielesna, zawiera w sobie całego Jezusa, Jego istotę, Jego charakter. Co więcej - zawiera wyrażone ranami całe Jego przeżyte życie, los, jakiego doświadczył, Jego mękę i śmierć. Nic nie jest pominięte; nic nie jest pozostawione „w nierealnym blasku”. Wszystko stanowi uchwytną, jakkolwiek przemienioną rzeczywistość. Tę rzeczywistość, której przeblyskiem było tajemnicze wydarzenie podczas ostatniej podróży do Jerozolimy: opromienioną chwałą. Nie jest ona subiektywnym doznaniem uczniów, lecz czymś realnie istniejącym. Nie jest oderwaną duchowością, lecz żywy Duch przeniknął wszystko, całe

życie - również ciało. Ta egzystencja jest po prostu spełnieniem cielesności; tak bardzo, że chciałoby się powiedzieć, iż w pełni doskonale jest dopiero to ciało, które zostało całkowicie przyjęte w ducha. Ciało ludzkie jest czymś innym niż ciało zwierzęcia i dopiero wtedy jest spełnione, kiedy pod żadnym względem nie można go pomylić z ciałem zwierzęcym. Co rzeczywiście znaczy ludzkie ciało, ukazuje dopiero wyraźnie zmartwychwstanie Chrystusa i Jego wejście do chwały.

Kiedy czytamy dalej - tak, jak powinna wyglądać autentyczna lektura Pisma, pełna refleksji i woli zrozumienia - uderza nas jeszcze coś innego. Któż mianowicie z apostołów jest tym, który najmocniej podkreśla cielesność Zmartwychwstałego? Otóż ten, który najdobitniej mówił o pierwiastku boskim w Jezusie: Jan. On, który głosi w Chrystusie Logosa, odwiecznego Syna Ojca, kreśli też najbardziej żywe rysy Jego zmartwychwstałej cielesności. Wynika to, po pierwsze, z przyczyn wewnętrznych: orędzie o Chrystusie rozwinęło się do tego stopnia, że nadszedł czas, aby postawić pytanie o Jego istotę. Do tego doszły jednak również przyczyny zewnętrzne. Jan znalazł się mianowicie ze swoją Ewangelią w obliczu nieprzyjaciela: pogańskiego i pół chrześcijańskiego spirytualizmu gnostyków. Byli oni całkowicie o władnięci myślą, że Bóg jest duchem - rozumieli to jednak w zupełnie wypaczonym sensie: takim mianowicie, że Bóg jest wrogiem materii i że wszelka materia jest w obliczu Niego nieczysta. Dlatego nie mogli zaakceptować rzeczywistego bogocłowieczeństwa: mówili, że w pewnym momencie istota boska, odwieczny Logos, zstąpiła w człowieka Jezusa i zamieszkała w nim. Jego ustami uczyła nas prawdy i wskazywała drogę prowadzącą z ciała do ducha. Kiedy potem ów Jezus umarł, Logos opuścił go i powrócił do nieba. Jan natomiast mówi: Bóg stał się człowiekiem i pozostaje nim w wieczności.

Ktoś mógłby na to rzec: Co nas obchodzi spirytualizm gnostyków? Otóż bardzo wiele. Całe czasy nowożytne są pełne ułudy „pierwiastka duchowego”. Widzieliśmy w poprzednim rozdziale, jak epoka ta nieustannie usiłowała zbyć Zmartwychwstanie jako iluzję, uważając bóstwo Jezusa za religijne przeżycie, postać Zmartwychwstałego za wytwór pobożności chrześcijańskiej wspólnoty, i w ten sposób oddzielając Chrystusa wiary od rzeczywistego Jezusa. Jest to - niezależnie od tego, czy wychodzi z przesłanek historycznych, czy psychologicznych - dokładnie to samo, co wtedy ze stanowiska mitologicznego mówili gnostycy. Natomiast Jan ustawił jak gdyby dwa wielkie znaki graniczne. Pierwszym jest zdanie: „Słowo stało się ciałem” (J 1,14). Nie tylko zstąpiło w człowieka, lecz weszło w jego egzystencję - tak że postać ta była zarazem Bogiem i człowiekiem; to, co czyniła, było czynem Boga, to, co ją spotykało, było losem Boga;

istniała nierozdzielna tożsamość egzystencji, odpowiedzialności, godności. I aby nic nie „uduchowiać”, Jan nie mówi: „Słowo stało się człowiekiem”, lecz wyostrza swoją wypowiedź do maksimum: „stało się ciałem”. Drugi znak graniczny stanowi zdanie: „Jezus zmartwychwstał”. Nie tylko zachowany jest w pamięci swoich uczniów, nie tylko działa nadal w historii mocą swego słowa i swego dzieła, lecz żyje w boskiej i ludzkiej, w duchowej i cielesnej rzeczywistości. Oczywiście przemieniony: otoczony chwałą. Syn Boży w Nim nie wyzbył się swojej ludzkiej istoty, lecz wziął ją ze sobą do jawnej, wiecznej chwały. Do owej egzystencji, którą głosi Apokalipsa, o której mówi wizja świętego Szczepana, którą ma na myśli św. Paweł, kiedy mówi, że Chrystus tronuje na wyżynach niebieskich, siedząc po prawicy Ojca (Ef 1,20; Rz 8,34). W ten sposób istnienia Syna Bożego przyjęte jest Jego człowieczeństwo i uczestniczy w nim na wieki.

Dobrze zrobimy, zatrzymując się w tym miejscu, aby sobie uświadomić, że to, co tu zostaje powiedziane, jest czymś zaiste niesłychanym. I jeśli coś w nas się zdumiewa albo się buntuje, to dopuśćmy to coś do głosu, ma ono bowiem do tego prawo.

Kimże jest Bóg? Duchem ponad wszelkie duchy; tak bardzo, że w porównaniu z Nim „aniołowie są ciałem”. Kimś nieskończonym, wszechmocnym, odwiecznym, ogarniającym wszystko w prostocie swego absolutnie rzeczywistego istnienia. Niezmiennym, żyjącym sam z siebie i wystarczającym sam sobie. Cóż może mieć wspólnego z jakąś istotą ludzką? Już samo Wcielenie jest przecież czymś nie do pojęcia. A jeśli je już przyjmujemy i widzimy w nim czyn niepojętej miłości, to czy to życie i ta śmierć nie mogłyby wystarczyć? Dlaczego trzeba jeszcze wierzyć, że ta odrobina stworzenia zostaje przyjęta w wieczne Boże istnienie? Co ma tam do czynienia? Zabłąkana, zawieszona w tym czymś niesłychanym? Dlaczego Logos nie strząsa z siebie tego pyłku i nie powraca do czystej jasności swego wolnego boskiego istnienia?... Takie myśli i odczucia są filozofią albo ludzką religią - mówi Objawienie. Chrześcijaństwo oznacza właśnie, że tak nie jest. Ale jaki zatem jest Bóg, jeśli ma być możliwe coś takiego jak Zmartwychwstanie, a potem Wniebowstąpienie i zasiadanie na tronie po prawicy Ojca? Taki, że to jest możliwe! Bóg objawia się w zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu oraz w wiecznym tronowaniu Boga-Człowieka. Bóg nie jest taki, jak na podstawie własnych doświadczeń i myśli wyobrażamy sobie Najwyższą Istotę, aby potem twierdzić, że coś takiego jak zmartwychwstanie zupełnie do niej nie przystaje; Bóg jest raczej taki, jakim jawi się w Zmartwychwstaniu. A to, co w naszym myśleniu i odczuciu temu przeczy, okazuje się fałszywe.

Jeśli postaramy się zrozumieć postać Chrystusa i myśleć z jej perspektywy, to

staniemy wobec wyboru: albo zaakceptować nowe wyobrażenie o Bogu i wstąpić w nową relację wobec Niego, albo też „anulować” Chrystusa, uczynić z Niego wielkiego wprawdzie, ale tylko człowieka. Ale również na człowieka musimy spojrzeć inaczej. Również w jego obrazie musi nastąpić zasadnicza zmiana. Nie można już mówić: Człowiek jest taki, jakim jawi się z perspektywy świata, wobec czego ta ludzka istota nie może zasiadać na tronie po prawicy Ojca - lecz: Ponieważ Objawienie mówi nam, że powyższe jest faktem, przeto człowiek musi być kimś innym, niż myśleliśmy. Musimy się nauczyć, że Bóg jest kimś innym niż tylko „Najwyższą Istotą” - że jest bardzo „ludzki”; i musimy się nauczyć, że człowiek jest kimś więcej niż „tylko człowiekiem”: że szczytem swojej istoty sięga sfery nieznannej, a swoje ostateczne przeznaczenie czerpie dopiero ze Zmartwychwstania.

Dopiero Zmartwychwstanie ukazuje najwyraźniej, co oznacza odkupienie. Nie tylko to, że zostaje nam objawione, kim jest Bóg, kim jesteśmy my sami i czym jest grzech; nie tylko, że zostaje nam wskazana droga do nowego życia dzieci Bożych i dana siła pozwalająca je rozpocząć i spełnić; a nawet nie tylko, że następuje zadośćuczynienie za grzech i dzięki temu odpuszczenie zostaje osadzone w bezmiarze miłości i sprawiedliwości - lecz coś większego, albo mówiąc ściślej, bardziej cielesnego: odkupienie oznacza, że przeobrażająca potęga Bożej miłości ogarnia sobą nasze żywe istnienie. Jest to więc rzeczywistość, a nie tylko idea, intencja, kierunek życia. Odkupienie jest drugim boskim początkiem - po pierwszym, którym było stworzenie. I jakimż początkiem! Gdyby ktoś zapytał: Co to jest odkupienie? - odpowiedź musiałaby brzmieć: zmartwychwstały Pan. On, w swojej cielesnej egzystencji, w swoim przyjętym do chwały człowieczeństwie - On jest odkupionym światem. Dlatego zwie się On „Pierworodnym wobec każdego stworzenia”, „pierwszym Owocem” i „Początkiem” (Kol 1,15.18; 1 Kor 15,20). W Nim stworzenie zostało wyniesione do wiecznego istnienia Boga. I oto pozostaje On w świecie jako niezniszczalny Początek. Działa jako ogień, który nadal płonie, jako brama, która wciąga w swoje progi, jako droga, która wzywa, aby na nią wstąpić (Łk 12,49; J 10,7; 14,6). Wszystko ma być włączone w Niego, Zmartwychwstałego, aby uczestniczyć w Jego przyjęciu do chwały. Takie jest przesłanie listów do Efezjan i Kolosan, całego Pawła i Jana. Na początku ery nowożytnej ukształtowało się mocne przekonanie, że chrześcijaństwo jest usposobione do ciała wrogo. To wszakże, co jest tu rozumiane przez słowo „ciało”, jest ciałem po ziemsku samowładnym - ciałem antyku, renesansu czy naszych czasów. W rzeczywistości to właśnie chrześcijaństwo odważyło się usytuować ciało w największej bliskości Boga. W jednym z najbardziej przejmujących i

najważniejszych miejsc Nowego Testamentu znajdujemy następujące zdania: „Bo stworzenie z upragnieniem oczekuje objawienia się synów Bożych. Stworzenie bowiem zostało poddane marności - nie z własnej chęci, ale ze względu na Tego, który je poddał - w nadziei, że również i ono zostanie wyzwolone z niewoli zepsucia, by uczestniczyć w wolności i chwale dzieci Bożych. Wiemy przecież, że całe stworzenie aż dotąd jęczy i wzdycha w bólach rodzenia. Lecz nie tylko ono, ale i my sami, którzy już posiadamy pierwsze dary Ducha, i my również całą istotą swoją wzdychamy, oczekując przybrania za synów - odkupienia naszego ciała” (Rz 8,19- 23). Czy rozumiemy, jak tutaj chwała dzieci Bożych, a więc dzieło Chrystusa, zostaje ostatecznie określone? Jako „odkupienie naszego ciała”!

Musimy zmienić swoje wyobrażenie o odkupieniu! Nosimy jeszcze w sobie mentalność racjonalistyczną, która sytuuje odkupienie tylko w sferze „duchowej”, to znaczy w sferze myśli, intencji, emocji. Musimy nauczyć się pojąć boską intensywność rzeczywistości odkupienia. Odnosi się ono do egzystencji, do człowieka, do jego rzeczywistości - tak bardzo, że na przykład św. Paweł, któremu zaiste nikt nie może zarzucić fascynacji ciałem, określa je wręcz jako nowe ciało. Ma to swoją podstawę w Zmartwychwstaniu i stąd słowa tegoż Pawła: „Jeśli Chrystus nie zmartwychwstał... daremna jest wasza wiara” (1 Kor 15,14.17).

Dopiero z tej perspektywy staje się też jasne, co oznacza sakrament. Czyż nie odczuwaliśmy już w stosunku do Eucharystii wewnętrznych oporów? Czy nie czuliśmy tego samego, co protestujący w Kafarnaum, którzy pytali: „Jak On może nam dać swoje ciało do spożycia?” (J 6,52). Co to ma znaczyć: „ciało, krew Chrystusa”? Dlaczego nie „prawda” i „miłość” Chrystusa? Dlaczego nie poprzestał na pierwszej połowie swej mowy w szóstym rozdziale Ewangelii Jana, zawierającej obietnicę? Po co te namacalne, by nie rzec: materialne, konkrety drugiej części? Pamiętka Pana - jak najbardziej, ale dlaczego przez spożywanie Jego ciała i picie Jego krwi? Dlaczego nie przez wspomnianie w godności i czystości ducha? Dlatego, że ciało i krew Pana, że Jego zmartwychwstałe ciało, że Jego przyjęte do chwały człowieczeństwo jest odkupieniem! Dlatego, że w Eucharystii dokonuje się stale na nowo uczestnictwo w tej przyjętej do chwały, bogociałowej rzeczywistości. Dlatego, że spożywanie Jego ciała i picie Jego krwi stanowi *pharmakon athanasias*, lek zapewniający nieśmiertelność, jak mawiali greccy Ojcowie - nieśmiertelność nie „duchowego”, lecz ludzkiego, przyjętego do Bożej Pełni cielesno-duchowego życia.